

„Thema mit Variationen”

Edward Pasewicz

19.05.1930, Berlin. Pogodnie. Przyjechałam na kilka tygodni. Egzaminy. Ciotka Töpfer taka jak zwykle. Koścista. Jemy ciągle kapustę, na wszelkie możliwe sposoby. Jestem przyzwyczajona. Wieczorem grałam jej trochę, a Horst mi akompaniował. Odkąd się widzieliśmy ostatni raz, wyładniał. Ciotka mówi, że oglądają się za nim panny. Po kolacji powiedziała mi, że jest nim trochę zaniepokojona. Powiedziała, że jest taki „artystyczny” a jej się to nie za bardzo podoba. Za to zabiera ją na koncerty nowej muzyki. Jutro idziemy do Singakademie. Na kolację była wątróbka siekana na zimno. Chleb też.

Wśród papierów babki były też kalendarzyki. W nich zapisywała listy zakupów. Potrzebne adresy. Niektóre z nich były popodkreślane, inne skwapliwie zamazane, tak że nie da się już niczego odczytać. Najstarszy odnaleziony zapisek nosi datę 28.10.1925. Zapisek ten odnosi się do tego, że padał deszcz i w Meseritz było wyjątkowo szaro i przygnębiająco. Poza tym nauczyciel opowiedział legendę o wielkim karpniu, który mieszka w Boblewitz-see i zjada psy i owce. Usłyszała też legendę o zatopionym mieście i karocy, która wyjeżdża o godzinie duchów z zamku w Meseritz i wjeżdża do Obry, by po godzinie wracać. W nawiasie napisała: kompletna bzdura, nie spałam tyle razy i gapłam się na rzekę, o tej porze niczego takiego nie zobaczyłam.

Notatniki z lat 30. ubiegłego wieku spisane są po części na białych kartach ze znakiem wodnym w prawym górnym rogu, który przypomina lwa niosącego na grzbiecie kościelną chorągiew. Tak mi się przynajmniej wydaje. Atramenty są różne. Od bładoniebieskich po fragmenty pisane czarnym wyrazistym, który nie wyblakł tak bardzo jak inne. Musiał być dobrej jakości. Część notatników jest oprawiona w marokin, parę w moleskin, a reszta to szare kaliko. Wraz z upływem lat zmienia się papier. W latach +

wojny jest wyraźnie gorszej jakości. Symbole są dopisywane czerwonym intensywnym atramentem.

Horst przedstawił mnie po koncercie dyrygentowi. To prześliczny Grek Nikos Skalkottas. Sama trzecia symfonia pana Hannenheima ciekawa, ale chyba jej nie rozumiem. Trzeba by częściej słuchać. Najbardziej przypadło mi do gustu Adagio. Rozbudowana podwójna fuga, bardzo spokojna, ale zarazem przerażająca. Sam kompozytor bardzo przystojny. Ma dziwne oczy.

Horst bardzo chciał poznać Hannenheima, niestety ten dość szybko zniknął.

Za to świetnie bawiliśmy się z Herr Skalkottasem, który ma chyba jakieś kłopoty małżeńskie. Tak się przynajmniej zdaje, sądząc po półśłówkach, jakie wypowiada na temat małżonki. **ΝΙΚΟΣ ΣΚΑΛΚΩΤΑΣ**, jego żona jest chyba skrzypaczką i ma na nazwisko Tomke. Nie mam pojęcia, czy mają dzieci. Zna autorów Dreigroschenoper. [...] Bawiliśmy się do rana. Ciotka nie była zachwycona.

W notatniku z roku 1945 pisze, że wysłała list do ambasady Wielkiej Brytanii, aby powiadomić Nikosa o stanie zdrowia Norberta. Smętny dopisek zrobiony w 1966 roku: (†) dowiedziała się, że i on zmarł z głodu.

Do niektórych kart przyklejone są roślinki. W większości podpisane. Dla mnie obce zarówno nazwy, jak i zastosowanie. Wiedziałem, że to, co uważałem za chaszczę za domem, było w rzeczywistości jej herbarium. Nigdy nie przykładałem do tego wagi.

Zauważyłem, że niektóre z kalendarzowych notatek powtarzają się w dużych notatnikach. Oczywiście w wersji rozbudowanej.

Z notatników jasno wynika, że w Berlinie musiała poznać zarówno Norberta, jak i kilku in-

nych ludzi z jego kręgu. Horst Töpfer pojawia się jeszcze kilkanaście razy w notatnikach z 1946 roku: Bad Aibling. Horst tam jest i podobno ma się całkiem dobrze. Napisał list tutaj, bo był przekonany, że nie ucieknę z Meseritz. Pisze, że Amerykanie traktują ich po ludzku. Pyta, czy wiem coś na temat jego matki. On obawia się, że ona nie przeżyła. Jeszcze parę zdań, że walczył w północnych Włoszech, w zasadzie jest cały, „nie licząc kilku blizn, ale mówi się tutaj, że dodają mi męskiej urody”. Ton listu, mimo troski o matkę, dość pogodny. Ciotka nie żyje na pewno.

Ostatnie zdanie jest podkreślone trzema czerwonymi krechami. Notatniki z roku 1964 i 1965. Przebywała wtedy w Monachium. Była jednym ze świadków w procesie „Siostrzyczek śmierci z Meseritz-Obrawalde”.

[...] pytała mnie, jak to się stało, że część pielęgniarek odmówiła Walterowi Grabowskiemu. Powiedziałam, że miałyśmy szczęście. Dr Mootz wiedział, że nawet groźenie zawiadomieniem Gestapo niczego nie zmieni. Zapytano mnie też, czy składano mi propozycję. Odpowiedziałam, że starszy pielęgniarz Kurt Wiedeman chciał mnie szantażować z powodu mojego domniemanego związku z jednym z pacjentów. Ale przekupiłam go. Dawałam mu pieniądze i jedzenie w zamian za ochronę pacjenta i mnie. Erna siedząca na ławie oskarżonych uśmiechnęła się złośliwie. Poza mną nikt tego nie zauważył. Kiedy zapytano mnie, dlaczego one nie próbowały się jakoś wykupić, odpowiedziałam, że pewnie nie miały pieniędzy. Było to kłamstwo. Bały się dr. Mootza i Grabowskiego, a najbardziej bały się tego, że bardzo szybko same mogły stać się chwastami. A dr Wernicke odstrzyknęłaby je spokojnie i z uśmiechem na twarzy.

Lipiec '44. Siedziałam w pokoju pielęgniarskim. Dr Mootz dał Gertrudzie jakąś listę. Kiedy wy-

szedł, zrobiła taki ruch kciukiem, jak przy naciśnięciu tłoczka strzykawki. Nagle do pokoju przyszła Erna i powiedziała, że pacjent Duohl chce księdza i ostatniego namaszczenia. Gertruda kazała jej iść do dr. Mootza, a ten wysłał ją po księdza.

Nie patrzyłam, jak rozpuszcza luminal. Zapytałam ją tylko, czy to jest tak, że oni czasem się wszystkiego domyślają? Nie odpowiedziała mi. Spojrzała tylko i pokiwała głową. Wtedy przyszedł dr Mootz i zapytał mnie, czy to prawda, że gram na wiolonczeli.

Lubiłem, kiedy grywała. Dziś wiem, że gdyby nie okoliczności, w jakich żyła, mogłaby być wybitną wiolonczelistką. A może nie chciała nią być? Nie wiem. Całkiem sprawnie grała jeszcze na kilka tygodni przed śmiercią i pomyślałem wtedy, że to straszne, że nie będzie żadnego zapisu jej gry. Przyniosłem wtedy do kuchni magnetofon. Mam teraz starą kasetę TDK z trzydziestoma minutami Bacha w jej wykonaniu.

Gdyby próbować opisać jej grę, to najlepszym przymiotnikiem okazałaby się lekkość. Czuję się, że ma Bacha we krwi. Grała wszystkie Suity, ale najczęściej C-Dur. Najwyraźniej „Sarabande” z tej suity była jej ukochaną, bo potrafiła zagrać ją kilka razy pod rząd. Grała w kuchni, najczęściej przy otwartym oknie. I wiedziałem, że bardzo wiele osób w okolicy czekało na ten moment, kiedy będzie zupełnie struta i bez sił do życia i wyciągnie z pudła instrument.

[Zapisek bez daty dziennej. 1944 rok] Rozmawiał ze mną całkiem uprzejmie. Siedziałam w jego gabinecie. Widok na ptaszarnię i jego małe zoo trochę mnie rozpraszał. Tak jak i półotwarte drzwi do jego „laboratorium”. W zakładzie śmialiśmy się z jego eksperymentów. Może i były zabawne, gdyby nie to, co robi.

Ma bardzo przenikliwe spojrzenie. Jest chudy i ma wąski nos. Jest coś nieprzyjemnego w wykroju jego ust. Nie potrafię tego sprecyzować. Powiedział, że ma pewien pomysł, jak uspokoić pacjentów i wie też, że w zakładzie jest kilku muzyków. Jeden chyba nawet całkiem profesjonalny (powiedział to obrzydliwie protekcjonalnym tonem). „Czy myśli pani, że Tanzgesellschaft¹ dla łżej chorych pacjentów byłoby dobrym pomysłem?”

Chodził wokół mnie, trzymając ręce w kieszeniach. Nie miałam pojęcia, o co mu chodzi, ale odparłam, że tak. Opowiedział wszystkie te brednie o łagodzeniu obyczajów, o aryjskiej tradycji muzyki i o tym, że ponure nastroje w zakładzie trzeba koniecznie rozproszyć.

Oczywiście jako metafory użył sformułowania „promyk świetlistej muzyki, który rozproszy mrok”. „Pani gra? Prawda?” – zapytał. Powiedziałam, że tak. Zapytał też, czy to prawda, że mój „podopieczny” jest kompozytorem i pianistą. Potwierdziłam. Czyli że możemy taki projekt zorganizować? „Jest dużo odpowiednich sal w szpitalu”, powiedziałam.

„Czyli że mogłaby się pani zająć z Herr... jakże się on nazywa? A Hennenheim?” „Tak”, powiedziałam. Tak poza wszystkim on nazywa się Hennenheim. „W papierach mam inaczej”, powiedział, „dobrze, sprawdzimy to. Dobre podejście Frau Werhunt, porządek przede wszystkim”.

„A w jakim on jest stanie?” „Powiedziałabym, że w dobrym, nie jest agresywny”.

„A jakie rozpoznanie?” „Schizofrenia. Ale mnie się wydaje...” Byłam chyba naiwna, sądząc, że mnie słucha. Mruczał coś do siebie i wpisywał do kajetu. „Dobrze, Frau Werhunt, będziemy jeszcze rozmawiać o tej sprawie z dr. Mootzem, ale myślę, że to znakomity pomysł.”

¹ Towarzystwo taneczne

To zapis rozmowy babki z Walterem Grabowskim. Wskazuje na to wzmianka o zoo i podśmiejka z laboratorium. Grabowski nie miał żadnego wykształcenia naukowego. Był po prostu sumiennym siepaczem z NSDAP. Babka opowiadała, że próbował szpanować przeróżnymi eksperymentami. Ale radca medyczny Volheim, którego babka bardzo szanowała, szybko rozpracował eksperymenty:

[...] powiedział, że są to jakieś brednie. „To mniej więcej, tak jakby pani doszyła kotu skrzydła i kazała latać”. Siedzieliśmy w Cafe Reichert. Kiedy tu weszliśmy, uchyliło się bardzo wiele kapeluszy, w tym nawet kilka SA-mańskich czap. Radca Volheim mruknął tylko „nieszczęśnicy” i chwyciwszy mnie za ramię, doprowadził do stolika. To on mi powiedział, żebym wszystko zapisywała. „To nie potrwa długo, przecież wyraźnie widać, że przegrywamy. Oni nas hańbią, Frau Werhant. Ci ludzie nas hańbią”.

„Czy pani wie, że odstrzykują też dzieci?” Nie wiedziałam. Wyjął chusteczkę z kieszonki i przetarł czoło. Przez chwilę nic nie mówiliśmy. Kiedy postawiono przed nami piwo, piłam łapczywie. Nie wiedziałam o dzieciach i zrobiło mi się z tego powodu słabo. „Kiedy wejdą tu sowieci, rozstrzelają nas wszystkich. Jeśli prawdą jest to, co SS wyprawiała na Ukrainie i w Generalnej Guberni, to, Frau Werhant, niech mi pani wierzy, nic nam nie pomoże”. Znałam te pogłoski.

Notatka o rozmowie z Volheimem została zapisana obustronnie, na kartach grubszego papieru i włożona do notatnika z tamtego okresu. Dziwna rozmowa jak na kawiarnię, ale okazało się, że tak właśnie było. Rozmawiano o kłęsce, o zbrodniach i o tym, co z nami zrobią sowieci.

Luty 1945. Amanda Ratajczak i Herr Gulke już rozstrzelani. Podobno strasznie dygotała, a kiedy zawiązano im oczy, zaczęła wrzeszczeć. Gul-

ke nie lepiej. Podobno popuścił w spodnie przed strzałem, któryś z sowietów zaczął się śmiać i trzeba było przerwać akcję. Wtedy Frau Amanda zaczęła krzyczeć, ale nie wyobrażam sobie, jak brzmiał jej żabi krzyk na tle rechotu żołnierzy. Risto Arkeder oglądał to wszystko ze strychu swojego domu. Ojciec biednego Risto był fińskim ochotnikiem w SS. Teraz spokojnie sobie gnije, gdzieś na Ukrainie.

Mały przychodzi do mnie po jedzenie. Opowiadał, że sowieci nie potrafili się uspokoić, chociaż ich oficer dwa razy strzelił w górę. Uspokoił się dopiero, kiedy wymierzył w nich i wrzasnął coś, czego Risto nie mógł zrozumieć. Kiedy wystrzelili, zamknął oczy.

Risto pojawi się jeszcze trzy razy w notatkach. Ostatni raz, kiedy babka opisze w notatce z października 1958 roku, że zmarł na gruźlicę, że: † nie męczył się bardzo. Poszło gładko. Zaczęło się około 23.00, a o 4.15 było już po wszystkim. Cały czas byliśmy przy nim. ●